

Flota interwencji

22 lipca 2008

Waszyngton znalazł nowy sposób na zastraszenie Ameryki Łacińskiej – reaktywują tam swoją Czwartą Flotę.

Czwarta Flota powstała w 1943 r. i do jej obowiązków należała ochrona morskich konwojów handlowych przed łodziami podwodnymi Niemiec hitlerowskich na południu Atlantyku – miała sporo do roboty, skoro po ogłoszeniu 12 grudnia 1941 r. przez Hitlera operacji Paukenschlag, tylko w lutym 1942 r. niemieckie U-boty zatopiły 25 tankowców. Siły hitlerowskie zaatakowały też rafinerię na wyspie Aruba, skąd aż do wybuchu wojny dostarczano Niemcom ropę z Wenezueli, w tamtych starych, dobrych czasach wiernej Wujowi Samowi.

CUD WSKRZESZENIA

Czwartą Flotę rozwiązano w 1950 r., lecz od 1 lipca br. ma zostać odnowiona i patrolować wody od Karaibów po Przylądek Horn. Jej baza znajdzie się w porcie Mayport w Jacksonville na Florydzie, gdzie mieszczą się instalacje nuklearne. Flota, bezpośrednio dowodzona przez Josepha D. Kernana, podlegać będzie południowemu dowództwu floty północnoamerykańskiej. Pełną wartość bojową – zbliżoną do wartości bojowej Piątej Floty, operującej w Zatoce Perskiej, oraz Szóstej Floty, operującej na Morzu Śródziemnym – ma osiągnąć w 2009 r.

Jak pisze w kubańskim dzienniku „Granma” Fidel Castro: „Stany Zjednoczone posiadają 10 lotniskowców kategorii „Nimitz”, w przybliżeniu o tych samych parametrach: ogólna wyporność 101 000 ton; pokład długości 333 metrów i szerokości 76,8 metra; 2 reaktory atomowe; maksymalna prędkość 56 km/h; 90 samolotów bojowych na pokładzie. (...) Żaden kraj na świecie nie ma podobnych okrętów, bez wyjątku zaopatrzonych w wymyślną broń atomową, zdolną dosięgnąć każdy z naszych krajów”. Kolejny okręt nowej generacji, USS „Gerald Ford”, ma kosztować grubo

ponad 6 mld dolarów i stanowić – rzecz jasna – jeszcze większe cudeńko. Nie dość najpotężniejszego obecnie lotniskowca USS „George Washington”.

Z GRUBEJ RURY

– Ponowne ustanowienie Czwartej Floty to uznanie doniosłości bezpieczeństwa morskiego w południowej części półkuli zachodniej, jak też mocny sygnał dla wszystkich cywilnych i wojskowych sił morskich w Ameryce Środkowej i Ameryce Łacińskiej – chełpił się admirał Gary Roughead, mówiąc o „naszej nowej strategii morskiej”. Podobnie pisał admirał James Stevenson, stwierdzając, że „Czwarta Flota poniesie przesłanie całemu regionowi, nie tylko Wenezueli”. Kolejny przyjemniaczek, Alejandro Sánchez, stwierdził: – Przez ostatnie kilka lat Stany Zjednoczone skupiły się na Iraku i Afganistanie. Ostatnio usiłują powrócić do Ameryki Łacińskiej.

Jakby mało było tych pokazów imperialnej pychy, Sánchez oznajmił również: – Nieważne, które z państw Ameryki Łacińskiej uprawia wyścig zbrojeń, i tak potęga wojskowa USA jest niezrównana.

Jednocześnie Roughead – i nie on jeden – paple stare frazesy o „bezpieczeństwie i stabilizacji”, „wspólnych zagrożeniach i jedności interesów”. Ma nawet czelność mówić o „budowie zaufania między narodami”!

Oficjalne czynniki w USA zapewniają, że – jak czytamy w oświadczeniu Pentagonu – Czwarta Flota podejmie: „takie misje, jak choćby różnorakie operacje ratunkowe, walka z narkoterroryzmem oraz ożywienie współpracy na rzecz bezpieczeństwa”. Nic ponad „oddanie, jakie USA okazują partnerom w regionie”. Powtarzające się stwierdzenia o dyplomacji kanonierek to wszak banialuki, aż tylko spaść z krzesła – znaczenie Czwartej Floty ma być wręcz bardziej symboliczne, niż militarne!

W bukieciku owych uzasadnień w najgorszym kolonialnym stylu

nie mogło zabraknąć nawet tych o konieczności zapewnienia bezpieczeństwa Kanałowi Panamskiemu.

Prezydent Boliwii Evo Morales mówi o: „Czwartej Flocie interwencji”. – Tylko Czwartej Floty brakowało, by strzec wszystkich oceanów świata – ironizuje Castro i stwierdza: – Lotniskowce i bomby atomowe zagrażają naszym krajom i wykorzystuje się je, by siać przerażenie i śmierć, nie po to, by walczyć z terroryzmem i nielegalnymi praktykami.

TANIEC Z SZABLAMI

Z kolei prezydent Wenezueli Hugo Chávez proponuje utworzenie przeciwwagi dla NATO w postaci Paktu Południowoatlantyckiego. Wenezuela inicjowała w ostatnich latach powstanie nowych instytucji międzynarodowych, takich jak Boliwariańska Alternatywa dla Ludu Naszej Ameryki czy Bank Południa. Nie należy zatem lekceważyć tych słów – tym bardziej, że Chávez, który przetrwał inspirowany i wsparty przez USA pucz w kwietniu 2002 r., ma mocne podstawy, by występować z takim projektem.

W maju samolot bojowy USA naruszył wenezuelską przestrzeń powietrzną; rzecz jasna „przez pomyłkę”, lecz mało kto bierze to za prawdziwy powód. Tym bardziej po incydencie, który zdarzył się niedługo przed ogłoszeniem przez USA planów reaktywacji Czwartej Floty. 1 marca siły lotnicze Kolumbii, otrzymującej znaczne wsparcie wojskowe od USA i nazywanej nieraz Izraelem Ameryki Łacińskiej, uderzyły na znajdującą się w Ekwadorze bazę Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii (FARC), zabijając 16 bojowników, w tym jednego z przywódców Raúla Reyesa. Chávez nazwał to działanie zbrodnią wojenną; akcję potępił nawet reformistyczny prezydent Brazylii, Lula. Ekwador i Wenezuela ogłosiły zerwanie stosunków dyplomatycznych z Kolumbią; kilka dni później rząd wenezuelski zdecydował o posłaniu na granicę z kłopotliwym sąsiadem znacznej ilości wojsk, w tym 10 batalionów czołgów.

Na początku roku Chávez zaangażował się w misję mediacyjną między rządem Kolumbii a prowadzącym od 40 lat walkę zbrojną FARC – dla USA organizacją z tej samej półki co Al-Kaida – i kolejną kolumbijską organizacją partyzancką, Narodową Armią Wyzwoleńczą (ELN). Już w styczniu uwolniona została dzięki temu dawna kandydatka na wiceprezydenta Kolumbii Clara Rojas, liczono też na uwolnienie mającej w swoim czasie ambicje prezydenckie Ingrid Betancourt. Przebrzydły Chávez rozgrywa karty – tego stanowczo za wiele!

KRECIA ROBOTA

Tymczasem Manuel Rosales, gubernator prowincji Zulia, jeden z czołowych uczestników puczu w kwietniu 2002 r. i główny rywal Chaveza w wyborach prezydenckich w grudniu 2006 r., już dwa lata temu otwarcie mówił o współpracy granicznej z „siostrzanym krajem – Kolumbią”, jakoby w celu położenia kresu plądze porwań dla okupu. To siostrzany kraj bynajmniej nie tylko dlatego, że Zulia leży na samym zachodzie Wenezueli.

Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej Rosales piętnował „rząd zarządzany z Kuby”, zarazem kilkakrotnie prześcigając Cháveza – mającego tu wiele do zaoferowania w praktyce – w obietnicach socjalnych. Dziś jakby mniej kituje – oto jego słowa, uzasadniające dążenia do „autonomii podatkowej” Zulii: „Chcemy liberalizmu, prawa do konkurencji i obowiązku wytrzymania konkurencji”. Trudno, by nie był Waszyngtonowi sympatyczniejszy niż Chávez, który w swym wystąpieniu na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ w 2005 r. przypominał o formalnie zagwarantowanym międzynarodowo prawie poszczególnych krajów do prowadzenia polityki nacjonalizacji – m.in. bogactw narodowych.

Dodajmy, że mowa o kraju, którego rozpoznane złoża ropy, po odkryciu w tym roku nowych pokładów w rejonie Delt Orinoko, są czwartymi największymi na świecie i że Wenezuela jest potężnym dostawcą tego surowca do Stanów Zjednoczonych. Nabierają wówczas wiarygodności, brzmiące jak urywek z

powieści sensacyjnej, ostatnie wypowiedzi byłego prokuratora generalnego Wenezueli Isaías Rodrígueza, wedle którego Uribe wspólnie z podejrzanym o związki ze służbami specjalnymi amerykańskim dyplomatą Williamem Brownfeldem snuł plany „ostatecznej ofensywy” przeciw Wenezueli. Rosales ma stanowić jeden z instrumentów w tej brudnej grze.

Siły wierne Chavezowi nie ukrywają, że odbierają plany „autonomii” Zulii jako secesjonistyczną awanturę klas wyższych, analogiczną do tej, która od czasu objęcia prezydentury przez Moralesa rozpętała się w czterech najbogatszych prowincjach Boliwii, w których secesjoniści ogłosili nawet zwycięstwo w „referendalnych” farsach. Z owymi „bojownikami o wolność” – białymi rasistami – utożsamiają się również sami przeciwnicy Cháveza w Zulii.

Zulia należy do najbogatszych w ropę prowincji Wenezueli. Doceniał to Hitler, docenia i Bush. Szczególnie, gdy USA z ich słabnącym i coraz mniej pożądanym dolarem są wypierane z rynków Ameryki Łacińskiej i Karaibów przez Europę i Chiny.

Wenezuela i Boliwia głośno sprzeciwiły się „niepodległości” Kosowa. Nie dziwi to, gdy wspomnieć, że w Boliwii ambasadorem jest Philip Goldberg, który w swoim czasie dołożył swoje trzy grosze do oderwania od Serbii owego skazanego na niesamodzielność tworu.

MONROE WIECZNIE ŻYWE

To tylko mały wycinek tła politycznego, na którym ostrzej rysują się kontury reaktywowanej Czwartej Floty USA. Źródła w Pentagonie przyznają, że jednym z powodów jej odtworzenia jest zakup przez Wenezuelę w czerwcu ub.r. dziewięciu rosyjskich łodzi podwodnych, jak też znacznych ilości innego sprzętu wojskowego. W swoim czasie Chávez, który pozwolił sobie nazwać Busha „Panem Grozą”, „diabłem” i „ścierwem politycznym”, stwierdził, że imperialistyczna inwazja na Wenezuelę oznaczać będzie początek wojny stuletniej.

Nie tylko za sprawą Wenezueli, Boliwii i Kuby Stany Zjednoczone odczuwają rosnącą gospodarczą, dyplomatyczną i wojskową izolację w regionie. Ekwador, w którym w styczniu 2007 r. objął władzę lewicowy prezydent Rafael Correa, odmówił Stanom Zjednoczonym dalszej dzierżawy bazy Manta – jedynej stałej bazy armii USA na kontynencie – z której będą zmuszone się wycofać w 2009 r. Oto dlaczego wystawia się kolosalną armadę, zdolną bez trudu zmiażdżyć ogół sił wojskowych niejednego kraju Ameryki Łacińskiej i Karaibów.

W tej drugiej, gorszej Ameryce zapomniano bowiem, że o tym, co jest demokracją, ostatecznie zawsze decyduje biały anglosaski protestant.

Autor: Paweł Michał Bartolik

Źródło: [Trybuna Robotnicza](#)